

Duch angielskiej rebelii

25 maja 2019

Gdzie się podziała nasza odwieczna tradycja buntu i sprzeciwu? Dzisiaj potrzebujemy jej bardziej niż kiedykolwiek.

Wszyscy znamy historię inwazji Normanów na Anglię, a z pewnością pamiętamy przynajmniej, że najważniejszą w tej kampanii była bitwa pod Hastings, w 1066 r. Uczy się o tym na lekcjach historii w każdej brytyjskiej szkole, a wygląda to mniej więcej tak:

W roku 1066 książę normandzki Wilhelm Zdobywca dokonał najazdu na Anglię, chcąc podważyć przejęcie władzy przez niedawno koronowanego na króla Harolda II Godwina. Wilhelm był przekonany, niekoniecznie w zgodzie ze stanem faktycznym, że tron należy się jemu. Jego armia wylądowała w Pevensey, a w odpowiedzi na to wojska Harolda rozpoczęły marsz na południe, by stawić jej czoła. Do starcia obu armii doszło na zboczach Senlac Hill, na zachód od Hastings. Harold skończył ze strzałą w oku, Wilhelm – na tronie Anglii. Jego koronacja odbyła się w święto Bożego Narodzenia 1066 r. w Katedrze Westminsterskiej... i na tym historia się kończy. Następnym ważnym wydarzeniem, o którym uczą w szkołach, jest wojna domowa za czasu rządów Plantagenetów.

Tymczasem w rzeczywistości historia tego podboju wyglądała nieco inaczej. Szkolne podręczniki nie mówią ani słowa o tym, że bitwa pod Hastings była zaledwie początkiem, a nie końcem normańskiej kampanii, mającej na celu podbój Anglii. Przez następne pięć lat na obszarze niemal całego kraju prowadzona była zacięta i bezwzględna wojna partyzancka, której celem było wypędzenie Normanów. Bardziej współczesnymi odpowiednikami tej walki, oddającymi jej determinację, mogą być francuski ruch oporu, działalność Wietkongu czy wojna partyzancka w okupowanym Iraku. Czasami można było nawet odnieść wrażenie, że władanie Wilhelma I Zdobywcy będzie

równie krótkie i niepewne, jak jego poprzednika. To właśnie wtedy narodził się angielski ruch oporu.

Po zwycięstwie pod Hastings, Wilhelm oczekiwał, że cała Anglia padnie pokornie do jego stóp. Rozwój wydarzeń potoczył się jednak w zupełnie przeciwnym kierunku. Rozproszone grupy szlachty i możnowładztwa zjednoczyły się i wspólnie ogłosiły, że nowym królem Anglii jest nie Wilhelm, lecz Edgar II Ætheling, 14-letni wnuk jednego z poprzednich władców, Edmunda II Żelaznobokiego. Najpoważniejszym problemem Wilhelma było bowiem to, że tron angielski nie był dziedziczny, lecz król był każdorazowo wybierany. A Wilhelma nikt nie wybrał i dlatego postanowił on rozwiązać ten problem w sposób, w jaki rozwiązywał większość trudnych sytuacji w swoim życiu: uciekając się do wyjątkowej przemocy.

Na czele armii rozpoczął marsz przez południową Anglię, mordując, niszcząc i gwałcąc wszystko, co napotkał na swojej drodze. Najpierw splądrował wybrzeże, a następnie wielkim łukiem obszedł Londyn, by odciąć stolicę od źródeł zaopatrzenia w żywność. Doszczętnie spalił Southwark, by potem wyruszyć na zachód, wyrzynając mieszkańców Buckinghamshire, Bedfordshire, Middlesex i Hertfordshire. W wyniku tych działań, zbuntowani przywódcy Anglii wycofali się w mniej dostępne rejony kraju. Edgar, któremu nigdy nie było dane objąć angielskiego tronu, oddał hołd najeźdźcy, podporządkowując się jego władzy. Ceremonia koronacji została zorganizowana naprędce w Katedrze Westminsterskiej.

Niewykluczone, że zamiarem Wilhelma było przekształcenie uroczystości koronacji w wydarzenie o wymowie pojednawczej, jednak nic z tego nie wyszło. Tradycyjnym zachowaniem kończącym każdą koronację było spontaniczne wychwalanie nowego króla i pozdrowienie go okrzykiem radości przez zgromadzoną gawiedź. Wilhelm rozkazał otoczyć opactwo kordonem żołnierzy, na wypadek gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Gdy rycerze usłyszeli w trakcie koronacji, że niektórzy spośród zgromadzonych wznoszą okrzyki w nieznanym im samym języku,

pomyśleli, że to początek rebelii. W konsekwencji zaczęli podpalać stojące nieopodal domy i zabijać gapiów. Wybuchła panika i katedra niemal w mgnieniu oka opustoszała, a świeżo namaszczonego króla pozostał sam samiutki, dzierżąc w dłoniach berło i jabłko, trzęsąc się z gniewu, strachu i wściekłości na osamotnionym tronie.

Być może to właśnie katastrofa ceremonii i zamieszki, do których doszło w jej trakcie, wzmocniły opór Anglików wobec Wilhelma. A może przyczyna buntu była bardziej prozaiczna: pierwszą decyzją nowego króla było odebranie wszystkim ziemi i żądanie haraczu za jej oddanie. Procesowi pojednawczemu nie pomogło przejęcie ogromnych połaci kraju i rozparcelowanie gruntów pomiędzy swoich popleczników. Niezależnie od tego, jaka była przyczyna oporu, koronacja dała Wilhelmowi papierową władzę, Anglia i Anglicy musieli jeszcze zostać przez niego podbici. Na zachodzie kraju bardzo silny opór ofensywie Normanów stawili mieszkańcy hrabstwa Exeter. Synowie zmarłego króla Harolda, którzy uciekli do Irlandii, zwarli szeregi i nękali wojska Wilhelma w hrabstwach Devon i Kornwalia. Edgar udał się na wygnanie do Szkocji, gdzie udało mu się uzyskać poparcie króla Malcolma III. Na granicy z Walią, buntownik znany jako Eadric Dzik prowadził wojnę partyzancką i przy wsparciu książąt walijskich latami nękał armię Normanów.

Praktycznie bez przerwy, na obszarze całego kraju, grupy buntowników zbierały się w lasach, na bagnach i mokradłach, na terenach trudno dostępnych, by, korzystając z cichego wsparcia okolicznej ludności, gnębić i mordować okupantów. Normanowie nazywali tych bojowników *silvatici* – „ludźmi z lasu”. Anglicy określali ich mianem „dzikich” lub „zielonych”. Tak jak większość grup prowadzących wojnę partyzancką, tak i oni byli praktycznie nie do pokonania.

Rok 1069 to czas potężnego powstania na północy kraju. Władcy Mercji i Nortumbrii zwołali swoje armie i wezwali na pomoc króla Szwecji. Dołączył do nich młody Edgar i razem wypowiedzieli wojnę samozwańczemu królowi Anglii. Wilhelm

wyruszył na północ, by się z nimi zmierzyć i ich sobie podporządkować, a na nowo zajętych terenach stawiał ogromne fortece. Po przemarszu jego armii nie pozostał kamień na kamieniu między Jorkiem a Durham, wszystko zrównano z ziemią, by pozbawić nowe oddziały rebeliantów miejsc schronienia. Każde zwierzę, każdy dom, każde pole uprawne zostało zniszczone. Aby przeżyć, ocaleni mieszkańcy musieli sprzedawać dzieci na niewolników, a w skrajnych przypadkach – wykopywać zwłoki, by mieć się czym pożywić.

Wciąż jednak jeden obszar Anglii pozostawał niezdobyty: bagna Fens, a zwłaszcza wyspa Ely, którą w XI w. otaczały nieprzebyte mokradła, chaszcze i trzęsawiska. Ely stała się ostatnim bastionem ruchu oporu przeciwko inwazji Wilhelma Zdobywcy, bastionem dowodzonym przez człowieka w równym stopniu co Wilhelm bezwzględny, okrutny i zdeterminowany; człowieka, który okazał się równorzędnym rywalem dla Normanów i którego nie udało się Wilhelmowi pokonać w otwartym starciu. Nazywał się on Hereward i był ostatnią nadzieją Anglii.

Hereward, syn wielkiego posiadacza ziemskiego, został dekretem nowego króla pozbawiony majątku, dlatego pałał żądzą zemsty. Własnymi siłami przekształcił wyspę w fortecę, obsadzając ją grupą rebeliantów połączonych świętą przysięgą. Opat klasztoru na Ely, obawiając się o losy opactwa w przypadku wygranej Wilhelma, poparł Herewarda. Działania lokalnych baronów normandzkich, zmierzające do oczyszczenia wyspy z rebeliantów, zakończyły się fiaskiem. Dlatego w 1071 r. Wilhelm osobiście stanął na czele armii i wyruszył na podbój wyspy Ely.

Jednak Hereward okazał się być przeciwnikiem dużo bardziej wymagającym niż Harold. Pierwsze podejście Wilhelma mające na celu zdobycie Ely opierało się na zbudowaniu gigantycznej pływającej konstrukcji, która miała umożliwić rycerzom przedostanie się przez bagno otaczające wyspę. Hereward i jego ludzie obserwowali z rozbawieniem całą operację: gdy konstrukcja została ukończona, rycerze Wilhelma, żądni sławy i

majątku, rzucili się na nią. Wówczas, pod naporem zbyt dużego obciążenia, załamała się ona, a wielu spośród wojów utonęło w mokradłach.

Wściekłość Wilhelma nie miała granic. Obmyślił kolejny fortel: za namową jednego z doradców, sprowadził lokalną wiedźmę, by ta rzuciła urok na Herewarda, co miało zapewnić zwycięstwo. Następnie odciął wyspę od świata i wybudował cztery wieże oblężnicze, uzbrojone w katapulty. Skonstruował także kolejną olbrzymią tratwę, tym razem bardziej stabilną. Nakazał wiedźmie stanąć na jednej z wież i rozpoczął bombardowanie wyspy zarówno kamieniami, jak i czarami. Hereward ze swoimi ludźmi czekali ukryci w grzęzawisku. W odpowiedzi na atak Wilhelma, oblali oliwą rosnące wokół wyspy trzciny i je podpalili. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, połykając olbrzymią tratwę, cztery wieże oblężnicze oraz wiedźmę, która wrzeszcząc wniebogłosy spadła z jednej z nich, skręcając sobie kark.

Oblężenie wyspy trwało około osiemnastu miesięcy. Wilhelm atakował, Hereward umiejętnie te ataki odpierał: wyspa pozostawała niezdobyta. Koniec obrony, który w końcu nadszedł, był w pewnym sensie banalny. Wilhelm wysłał tajną wiadomość do opata klasztoru na Ely: jeżeli się nie poddasz, natychmiast zajmę twoje posiadłości. A gdy w końcu was pokonam, to odbiorę ci wszystko, wszelkie bogactwo i życie. To wystarczyło. Pod nieobecność Herewarda, który wybrał się na bagna w poszukiwaniu żywności, mnich wpuszczał na wyspę wojska Wilhelma. Zdrada, nie wygrana w bitwie, zdecydowała o ostatecznym zwycięstwie najeźdźcy.

Opowieść o bohaterstwie Herewarda i o jego szaleńczym oporze przeciwko okupantom przetrwała stulecia i była powodem do dumy wielu pokoleń Anglików. Stało się tak najprawdopodobniej dlatego, że Hereward i jego ludzie byli jednymi z pierwszych angielskich buntowników. Ludzie ci stali się wzorem dla następnych pokoleń, które przez kolejne tysiąc lat przeciwstawiały się próbom ograniczania wolności na rzecz

zniewolenia, wciąż anektującego kolejne obszary życia.

Historia Anglii jest bardzo często przedstawiana, nawet obecnie, jako dzieje władzy i szlachty, jako sekwencja kolejnych podbojów, wojen i bitew. Nie jest to oczywiście nic nadzwyczajnego, historia wykładana w szkołach w każdym niemal kraju wygląda bardzo podobnie, niezależnie od tego, czy ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych, czy w Korei Północnej. Jest to historia establishmentu, opowiadająca o dokonaniach grabieżców, złodziei, morderców i psychopatów, którzy na przestrzeni wieków tworzyli to, co dzisiaj nazywamy współczesnością. Historia ta jest splotem dat wielkich bitew i traktatów pokojowych; sławi ona ludzi uwielbiających wbijać flagi w ciała pokonanych. W tak opowiadanej historii Wilhelmowie Zdobywcy występują jako wielcy bohaterowie, a Herewardowie – w charakterze przypisów.

Ale jest też i inna historia, w Anglii jak i w każdym innym kraju: historia opowiadająca o ludziach, którzy decydowali się stawić opór wzbierającym falom, zdając sobie zapewne sprawę, że stoją na straconej pozycji. Jest to historia buntowników-straceńców, którzy rzucali wyzwanie przyszłości i sprzeciwiali się marginalizowaniu ich przez wielkich tego świata. Jest to historia, którą powinniśmy dobrze sobie przyswoić, zwłaszcza dzisiaj, w sytuacji, gdy staczamy się coraz bardziej w odmęty bezmyślnego, posłusznego konsumeryzmu. Może nam to pomóc ocalić samych siebie.

Przykładem może być bunt chłopski z 1381 r. Wydarzenie to było czymś więcej niż jednostkowym i mało istotnym aktem obywatelskiego nieposłuszeństwa w wykonaniu przerzucających gnój ignorantów. Był to nie mający precedensu w historii wybuch społecznego gniewu, który – niewiele brakowało – zakończyłby się rewolucją. Przez dziesięciolecia angielska biedota była trzymana pod butem niezwykle surowego prawa, które ograniczało jej dochody i swobodę poruszania się, a z drugiej strony sankcjonowało wysokie kary, niewspółmierne do wykroczeń (stryczek za kradzież kurczaka – ktoś reflektuje?).

Kościół i państwo tuczyli się bez umiaru na pracy zwykłych ludzi, aż w końcu miarka się przebrała. Kroplą, która przepełniła czarę, było wprowadzenie przez parlament podatku pogłównego. W efekcie, na terytorium południowej Anglii ludzie zaczęli protestować. Początkowo napadali i zabijali urzędników, którzy zajmowali się egzekucją podatków, następnie zaczęli podpalać domy szlachty i duchowieństwa. Wreszcie rozpoczęli marsz na Londyn.

Zanim dotarli do stolicy, było ich już ponad 100 tysięcy. Przywódca, Wat Tyler, zapowiadał rewolucję, a jego prawa ręka, radykalny duchowny John Ball, wzywał do zniesienia pańszczyzny, rozdziału kościoła od państwa, redystrybucji majątków należących do kleru i możnowładców. Rebelianci zwrócili się do króla z żądaniem audiencji. Ponieważ ten nie odpowiedział, zaatakowali Londyn. Ścili arcybiskupa Canterbury, napadali na kościoły, grabili posiadłości bogaczy. W obliczu tych wydarzeń, Ryszard II Plantagenet, który miał wówczas zaledwie 14 lat, zbiegł do Tower of London w obawie, że „zagrożone jest dziedzictwo i chwała Anglii”.

Koniec końców nic takiego się nie stało. Młody król odważył się jednak spotkać z rebeliantami; na miejsce spotkania wyznaczono Blackheath, leżące poza stolicą. W trakcie spotkania król nakazał zgładzić Wata Tylera, pozbawiając buntowników przywództwa, a następnie wspaniałomyślnie zgodził się na wszystkie ich postulaty. Gdy chłopci wrócili do domów, okazało się, że wszystko było jedynie zagrywką taktyczną. Król nie dotrzymał żadnej ze swoich obietnic, a lokalnych przywódców buntu rozkazał pojmać i zabić. Rewolucja zakończyła się klęską, ale była także lekcją dla przyszłych pokoleń: nie wolno wierzyć obietnicom składanym przez władzę.

Przez kolejnych kilka stuleci do podobnych wydarzeń dochodziło dość często: Jack Cade był przywódcą rebelii w hrabstwie Kent w 1450 r. (uczestniczył w niej jeden z moich przodków), górnicy kornwalijscy wystąpili przeciwko królowi Henrykowi VII w roku 1497, w 1536 r. wybuchły powstania na północy kraju

przeciwko rządowi Henryka VIII, a w 1549 r. doszło do powstania chłopskiego w Norfolk, dowodzonego przez Roberta Ketta. Ale prawdziwy wybuch społecznego niezadowolenia miał miejsce w latach 40. XVII w., gdy Anglia znalazła się w ogniu wojny domowej. Wtedy to potężne pokłady frustracji i od zawsze niszczonego społecznego radykalizmu wypłynęły z całą mocą na powierzchnię. Zrównywacze (Levellers), podobnie jak ludzie, których 300 lat wcześniej Wat Tyler prowadził na Londyn, domagali się zniesienia władzy arystokracji i instytucjonalnego Kościoła. Z kolei Kopacze (Diggers), dowodzeni przez Gerarda Winstanleya, żądali tego samego, a ponadto wzywali do rozdysponowania ziemi pomiędzy wszystkich mieszkańców kraju. Podobnie Deklamatorzy (Ranters), Kwakrzy (Quakers), Muggletonianie (Muggletonians) czy wiele innych ruchów oddolnych, których celem było wykorzystanie upadku monarchii dla stworzenia sprawiedliwszego, bardziej egalitarnego porządku społecznego.

Niezwykle wymownym jest fakt, że wiele z tych grup odwoływało się do poglądu o istnieniu „normandzkiego jarzma” i z niego wywodziło swój bunt. Według nich, Anglia była kiedyś krajem wolnych ludzi, do czasu inwazji Wilhelma Zdobywcy i jego brutalnych baronów, którzy zepchnęli naród do rangi służby. Egzekucja Karola I, który był potomkiem najeźdźcy, ponownie uczyniła Anglię wolnym krajem, po sześciu stuleciach. Teraz najważniejszym zadaniem było utrwalenie odzyskanej wolności. Sześć wieków później, uczestnicy wojny domowej zobaczyli w sobie kontynuatorów idei i walki Herewarda. Oliver Cromwell, spadkobierca Wilhelma, gnębił ich, by chronić interesy swoje i klasy posiadaczy, do której należał.

Ironią historii jest to, że triumf parlamentu, którym zakończyła się wojna domowa, doprowadził do przeprowadzenia na ogromną skalę procesu, który stał się zarzewiem kolejnej fali oporu przeciwko rządzącym: konfiskaty ziemi publicznej. W wyniku wojny domowej, do władzy doszli przedstawiciele ziemiaństwa, którzy teraz, wyzwoleni spod zwierzchności króla,

zaczęli korzystać z nowych możliwości. W ciągu kolejnych 150 lat parlament przyjmował ustawy sankcjonujące konfiskatę – czyli zwykłą kradzież – ziemi stanowiącej dotąd wspólny majątek. W XVIII w. doszło do gwałtownych protestów przeciwko temu procesowi, ludzie organizowali się i niszczyli płoty okalające skonfiskowane tereny, a także atakowali urzędników odpowiedzialnych za ich stawianie.

Jednak przejmowanie ziemi rolnej przez arystokrację stanowiło zaledwie zwiastun czegoś, co było jeszcze trudniejsze do przewyciężenia: zniewolenia całych społeczności przez rewolucję przemysłową. Gdy właściciele ziemscy i bogaci kupcy dostrzegli potencjał technologii, które pojawiły się w końcu XVIII w., nic nie mogło ich powstrzymać. Nagle, w analogii do wywłaszczenia małorolnych chłopów w procesie konfiskat ziemi, rzemieślnicy tracili możliwość zarobkowania na skutek ekspansji maszyn. Trwający od dłuższego czasu proces odzierania ludzi z ich niezależności przybrał znacznie na sile, w miarę jak industrializacja wymuszała migrację całych społeczności, które osiedlały się w podmiejskich slumsach, by pracować w kopalniach i hutach.

Praca najemna i powstanie miejskiej biedoty stały się wyznacznikami nowej rzeczywistości, a wraz z nimi rodził się nowy ruch oporu społecznego. Odsądzani od czci i wiary luddyci widzieli dokładnie, jaki wpływ na ich wolność i niezależność, na życie, którym kiedyś się cieszyli, ma postępująca rewolucja przemysłowa. Wzięli więc sprawy – i maszyny – w swoje ręce. Protest osiągnął taką skalę, że konieczne było wysłanie wojska dla stłumienia buntu. Owiany legendą Kapitan Swing poprowadził robotników rolnych przez południowe obszary Anglii, gdzie niszczyli oni maszyny rolnicze, które pozbawiały ich możliwości pracy i utrzymania, i gdzie napadali na „wrogów ludu”, którzy wykorzystywali maszyny, a nie ludzi, do młócenia ziarna.

XX w. przyniósł nową falę rebelii. Zrodziła się ona głównie w społecznościach poupychanych w coraz większych miastach, gdzie

socjalizm, komunizm, ruch związkowy, a od niedawna ruchy ekologiczne, stawały się kolejno formą i uzasadnieniem sprzeciwu wobec systemu, którego ostatecznym celem jest całkowite zniewolenie społeczeństwa. W imię czegoś, co kiedyś okrzyknięto „postępem”, a obecnie coraz częściej nazywa się „rozwojem” i „wzrostem”, większość społeczeństwa musi bardzo ciężko pracować, by żyć, skazana jest na niskie wynagrodzenia i wysokie zadłużenie. W tym samym czasie garstka „równiejszych świnek” pożera bez opamiętania owoce pracy innych, eksploatując ponad miarę zasoby coraz bardziej nadwerężonej planety.

Dzisiejsze pokolenie doświadcza na własnej skórze, jak wygląda najnowsza faza trwającego od długiego czasu marszu od wolności. Jest to era biometrycznych dowodów osobistych, wszechobecnego monitoringu, zdalnie sterowanych samolotów szpiegowskich i znajdujących się w posiadaniu rządów baz DNA. Jest to czas, w którym społeczeństwo jest bez przerwy ogłupiane promocjami, zakupami, idiotycznymi programami w telewizji, plotkami z życia gwiazd i gwiazdeczek, pseudoinformacjami, które rozchodzą się z szybkością błyskawicy dzięki internetowym łączom. Obraz dzisiejszego świata zadziwiłby nawet Aldousa Huxleya. Świat, który stworzyliśmy, to świat globalnego ocieplenia, inżynierii genetycznej, masowego wymierania gatunków i produkcji dzieci według oczekiwań i zachcianek rodziców.

Przyszło nam żyć w kraju, w którym aparat państwa mówi nam, gdzie możemy palić papierosy, jak powinniśmy się odżywiać i ile wolno nam wypić. W kraju, w którym każdy rok przynosi kolejne ograniczenia i zakazy związane najczęściej z nieszkodliwymi przyjemnościami, połączone z wykładnią, o czym i w jaki sposób można głośno mówić. W kraju, w którym wielkie ponadnarodowe korporacje, następczynie arystokracji, lordów i baronów, nie mają oporów przed doprowadzaniem nas do bankructwa, a jednocześnie wyciągają łapy po nasze pieniądze, gdy same staną w obliczu zapaści.

Na początku I wojny światowej narodziła się przesiąknięta duchem patriotyzmu legenda, która miała poprawić morale Anglików w czasie, gdy Niemcy zdobywali coraz większe obszary Europy. Mówiła ona o tym, że w czasie bitwy pod Mons w szeregach brytyjskich oddziałów pojawiły się duchy łuczników spod Agincourt, sprzed 500 lat, i że to oni pomogli pokonać wojska niemieckie. Historia ta, choć oczywiście była czystą fantazją, pomogła wzniecić w żołnierzach ducha walki. Bohaterowie z przeszłości pojawili się na placu boju i wsparli swoich następców, dając im zwycięstwo. Można przypuszczać, że dzisiaj więcej ludzi słyszało o „aniołach spod Mons” niż o samej bitwie.

Bardzo by się nam przydało kilka zastępów aniołów. Podobnie jak postawienie sobie przed oczyma Herewarda, który przeciwstawił się Wilhelmowi, najlepiej w jaskrawych barwach na tle czarnego nieba. Dobrze by nam zrobiła wizyta „ludzi z lasu”, Kopaczy, luddystów czy czartystów. Dla opamiętania warto byłoby przypomnieć sobie w jasny i dobitny sposób o tradycji radykalizmu i buntu, która jest starsza niż Izba Lordów czy monarchia, starsza nawet niż sama Anglia.

A to wszystko dlatego, że ta chlubna tradycja oporu i walki o wolność wydaje się dzisiaj zanikać. Zapamiętali w bezmyślnym szale bożonarodzeniowych wyprzedaży, omamieni morfiną płynącą z kolorowych czasopism, otumanieni farsą polityki zmonopolizowanej przez partie polityczne, daliśmy sobie wmówić, że synonimami wolności są „wybór konsumencki” i możliwość zabrania głosu raz na kilka lat, przy urnie. W rzeczywistości jednak jesteśmy niewolnikami, dokładnie w takim samym stopniu jak narody, które padały ofiarą podbojów, a nasza strata jest równa stracie naszych przodków, którym zabierano wspólne pastwiska. Z tą różnicą, że dzisiaj najeźdźca siedzi w naszych głowach i szepcze nam do ucha, że jesteśmy wolni nawet wtedy, gdy na własne życzenie ulegamy zniewoleniu. Tracimy w ten sposób szacunek do samych siebie, niezależność w myśleniu i działaniu, a także swobodę mówienia

„nie”.

Herewardowi, zgodnie z XI-wiecznym przekazem, udało się uciec z Ely, nie został pokonany ani poskromiony. Nie wiadomo, gdzie się udał i gdzie dokonał żywota. Ani nawet – czy w ogóle. W chwilach, kiedy oddaję się marzeniom, pragnę wierzyć, że Hereward wciąż jest wśród nas, czy to włóczęąc się gdzieś po bezdrożach, czy też pozostając w letargu w niedostępnych jaskiniach, jak król Artur ze swoimi rycerzami. I czeka na sygnał.

Doczeka się go jednak tylko wówczas, gdy my sami się najpierw przebudzimy i uświadomimy sobie, że niezależnie od tego, co nam próbują wmówić każdego dnia i z każdej strony, nie jesteśmy ludźmi wolnymi. Doczeka się go jedynie wówczas, gdy przypomnimy sobie, że wolność to coś, o co trzeba wciąż walczyć; tylko wtedy staje się rzeczywistością. To właśnie Hereward i anioły spod Mons powinni nam uświadomić, że wolność rodzi się w ogniu bitwy i tylko wtedy ma szansę ujawnić swój prawdziwy, szalony, rewolucyjny potencjał.

Autorstwo: Paul Kingsnorth

Tłumaczenie: Sebastian Maćkowski

Źródło oryginalne: Idler.co.uk

Źródło polskie: NowyObywatel.pl

0 autorze

Paul Kingsnorth (ur. 1972) – angielski pisarz, publicysta i dziennikarz, aktywista społeczny i ekologiczny; z wykształcenia historyk. Jego aktywność obywatelska zaczęła się na studiach, kiedy zaangażował się w akcję przeciwko budowie autostrad, za co został aresztowany. W 2001 r. znalazł się na liście „10 największych rozrabiaków Wielkiej Brytanii”. Jego teksty ukazują się na łamach pism głównonurtowych („The Guardian”, „Independent”, „Le Monde”, „New Statesman”) i niezależnych (m.in. „The Ecologist”, do którego redakcji swego czasu należał). Autor książkowych reportaży o ruchu

antyglobalistycznym („One No, Many Yeses”) oraz na temat niszczenia angielskiego krajobrazu i lokalnych więzi społecznych („Real England”). Jak sam mówi, stara się wskazywać powiązania między ludźmi a miejscami, polityką a życiem jednostek – tak, by zaczęły się interesować procesami, które dzieją się wokół nich. Jeden z głównych animatorów ambitnej inicjatywy, której celem jest wypracowanie nowego języka opisu rzeczywistości w obliczu kryzysu cywilizacyjnego i ekologicznego (zob. www.dark-mountain.net). Pracował m.in. w centrum rehabilitacji orangutanów na Borneo, był pokojowym obserwatorem podczas rewolucji zapatystowskiej w Meksyku i sprzątaczem w barze sieci McDonald’s. Autor nagradzanych wierszy. Mieszka na Tamizie, w pobliżu Oxfordu. Strona internetowa: www.paulkingsnorth.net.